

Jak Franio z Fatimy

Dzień dzisiejszy był dla mnie bardzo przykry. Po długo trwającym kontakcie – osobistym i listownym – z pewną osobą otrzymałem od niej cios: pewien bardzo błahy fakt zadecydował o tym, że uznała mnie za najgorszego (określenia pomijam), a jako ojca duchownego zupełnie mnie przekreśliła. Dałem ze siebie wszystko, żeby jej pomóc wyjść na prostą, lecz wszystko zawiodło!

Gdy tak łamałem się ze sobą, nagle przyszło natchnienie: doświadczyłeś znikomej części tego co Mnie, Boga, spotyka ze strony miliardów Moich ziemskich dzieci! Szanując waszą wolność, wciąż otrzymuję od was o wiele boleśniesz ciosy, a nawet odrzecenie na wieki Mojej do was miłości wraz ze wszystkim, co dla was do samego końca uczyniłem!

W jednej chwili odtworzyłem sobie doświadczenie z 7 marca 2019 roku. Był to (około północy) krótki pobyt w Niebie, gdzie dane mi było poznać – przypuszczam, że tylko w maleńkim fragmencie – mękę Boga, a zarazem Nieba, z powodu obecnego upadku moralnego ludzkości. Wówczas, ogarnięty wielkim płaczem, zapomniałem o wszystkich szczegółach, ale dzisiejsze skojarzenie z tamtą datą jest dla mnie wstrząsające. To co ja cierpię od jednej osoby, spotyka Boga jako miliardy razy zwielokrotnione!

Za chwilę przyszło następne skojarzenie ze świętym Franciszkiem z Fatimy, który w sposób odmienny niż dwie dziewczynki przeżył zanurzenie w wielkim świetle płynącym z Nieba. O ile one zapłonęły wtedy gorącym pragnieniem wynagradzania za raniące grzechy Niepokalanemu Sercu Maryi, on poczuł przemożną potrzebę pocieszenia Najświętszego Serca Jezusa za zadawane Mu rany. Odtąd, gdy dziewczynki szły do szkoły, on chował się w kościele, chcąc stale przebywać w pobliżu Jezusa, a gdy zachorował i miał opuścić ziemię, odchodził do Nieba jako pocieszyciel Jezusa, pragnąc tam dalej pełnić swoją misję.

Ta myśl owładnęła mną całym w kaplicy. Oto tu, na ziemi, chyba wypełniłem co do mnie należało i co było możliwe w ramach mojego powołania, otoczyła mnie cisza, pustka izolacji, choć modlitwa i codzienny krzyż zawsze mają jakąś wartość. Teraz mógłbym odlecieć do cierpiącego Boga i wykorzystać tam niebiańskie możliwości, by Go pocieszać! Są one na pewno tysiącrotnie większe, by stamtąd działać na ziemi, nieść światło poznania Boga i drogi do Niego, wciskać się w każdą szczelinę uchylonych drzwi serc, by je zdobywać dla Miłości!

Poszedłem do zakrystii, by wylosować jakieś zdanie z Pisma Świętego, gdyby Bóg chciał się nim posłużyć dla mojego pouczenia w zaistniałej sytuacji. W moim ręku pojawiła się karteczka z fragmentem Listu do Filipian 3,14: «Pędzę ku wyznaczonej mecie, ku nagrodzie, do jakiej Bóg wzywa w górę w Chrystusie Jezusie». To były tylko słowa potwierdzenia drogi, gdyż stale je noszę w swoim sercu. Tak więc... czekam na Twoje wezwanie, mój Boże! Mogę tu pozostać ile tylko chcesz, choćby sto lat, ale jeśli mnie zawołasz – w każdej chwili i ja chciałbym zawołać: Oto jestem! – i pędzić ku mecie, ku bramie Nieba!